

Dać czy nie dać, czyli o pomocy bez warunków

9 marca 2016

Zastanawianie się nad kwestią diety w Polsce z okazji 8 marca to swego rodzaju przyznanie racji retoryce, która uznaje dziecko za „sprawę kobiety”. Oczywiście w idealnych, laboratoryjnych warunkach potomstwo jest sprawą obu płci, i obie doświadczają z tytułu posiadania go radości i smutków oraz – co bardziej namacalne i wiążące – nabywają pewne prawa i obowiązki. Nie da się jednak ukryć, że Polska raczkuje pod względem udzielania jakiegokolwiek innego niż śladowe wsparcia socjalnego czy to samym dzieciom, czy kobietom jako ich „głównym” opiekunkom, czy, jak chce to widzieć prawica, rodzinom.

Zapowiadany na 1 kwietnia start programu pomocowego 500+ budzi definitywnie największe emocje spośród wszystkich decyzji partii rządzącej. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że o nocnych zakusach na Trybunał Konstytucyjny nie zapisano tyle papieru i kilobajtów, co o tym, czy owe 500 zł dadzą, kiedy dadzą, komu dadzą, a komu nie, i o tym, czy to wystarczająco sprawiedliwe. Opinię na temat przegłosowanego kilka tygodni temu programu ma absolutnie każdy, bez względu na to, czy jest ojcem lub matką i czy program go bezpośrednio dotyczy.

Przypomnijmy podstawowe założenia: owe 500 zł to świadczenie, które zostanie przyznane rodzinom posiadającym dwoje lub więcej dzieci, na każde dziecko od drugiego wzwyż, bez względu na dochody. W przypadku posiadania jednego dziecka spełnić należy kryterium dochodowe, wynoszące 800 zł na osobę w rodzinie lub 1200 zł w przypadku dzieci niepełnosprawnych. Świadczenie ma być wypłacane do momentu ukończenia przez dziecko osiemnastu lat. Na pierwszy, ostrożny rzut oka program wygląda i brzmi świetnie – oto naprawdę pierwsze tak powszechne świadczenie, które obejmie miliony obywateli i

którego rezultat społeczny może być bliski przyznaniu uniwersalnego świadczenia wprowadzanego przez inne kraje. Oto pierwsze świadczenie, które nie upokarza śladową kwotą lub nie jest jednorazowe, jak tysiąc złotych becikowego, starczające na używany wózek i paczkę pieluch, ani krótkotrwałe, jak świadczenie z tytułu urlopu macierzyńskiego. Oto po raz pierwszy uznano, że sam fakt, iż ktoś ma dziecko, oznacza, że ponosi realne koszty i wyrzeczenia, które, dla dobra wspólnego, państwo powinno mu rekompensować.

Drugi rzut oka zarówno na sam program, jak i na towarzyszące mu reakcje, przynosi jednak otrzeźwienie. Dziurawości podstawowych założeń 500+ nie da się ukryć pod prawicowym frazesem o „wspieraniu rodzin”. Program w zamyśle egalitarny zaprzecza swej rzekomej egalitarności, czyniąc szereg zastrzeżeń co do warunków i zasad uzyskiwania pomocy. Przez ostatnie tygodnie przez internet przetoczyła się gorąca debata, której skutkiem było wypunktowanie minusów rządowych założeń. A minusy te są poważne i zmieniają wymowę wsparcia, które znienacka okazuje się wybiórcze. Oto pomocy nie otrzyma niezamożna rodzina z jednym dzieckiem, otrzyma ją za to człowiek, któremu zdarzyło się mieć dwójkę dzieci, a w normalnym kraju płaciłby podatki według progu podatkowego dla najbogatszych. Świadczenie ma więc obiektywne wady i nie jest tak powszechne, jak chciano by je przedstawiać. Warto się jednak zastanowić, czy jest tak złe, jak niektórzy je odmalowują.

Lista zastrzeżeń wobec 500+ jest niemal nieskończenie długa, a wachlarz argumentów od prawa do lewa niesłychanie bogaty i kolorowy. Znajdziemy tu i skrajnie neoliberalne poglądy. Że świadczenie jest zbyt wysokie, gdyż jest „za nic” – wychowywanie młodego człowieka, który potrzebuje jedzenia, ubrania i przyborów szkolnych, to, jak wiadomo, zupełnie nic, żaden wręcz wysiłek. Albo że pieniądze przecież należy samodzielnie zarobić, a nie „dostać”. Mamy tu także wysoce indywidualistyczne tofu-lewicowe narzekanie, iż program

wspiera rodzicielstwo, którego przecież wspierać nie należy, bo jest nas na świecie zbyt dużo, a posiadanie dzieci nie jest ekologiczne i dla dobra planety powinniśmy rezygnować z prokreacji. A kończąc na tradycyjnych frazesach o „szklance wody”, której nikt nie poda na starość tym, co dzieci nie mają – więc każdy mieć je powinien bez żadnego wsparcia ze strony państwa. Osobiście wyznaję szalony solidarystyczny pogląd, że szklankę tę musimy podawać sobie nawzajem, co powinno skutkować wprowadzaniem jak największej liczby świadczeń i programów pomocowych. Wśród nich regularnie wypłacane wszystkim dzieciom, nie tylko tym wybranym według określonych kryteriów, 500 zł jest zaledwie pierwszym krokiem na długiej drodze. Spektrum przeczytanych i zasłyszanych reakcji na plany rządu jest naprawdę szerokie. Najciekawsze zaś padają z ust polityków opozycji, którzy, choć sami nie wsławili się przesadną pomocą opiewanej od lewa do prawa „rodzinie” (nigdy „kobiecie”), a podczas kampanii wyborczej negowali program jako rozdawnictwo zasobów, których przecież „nie mamy”, roszczeniowym masom ludowym, obecnie stoją na straży jego dokładnego wdrożenia i poszerzenia jego ram.

„Polek nie można kupić za 500 zł”, mówi Ewa Kopacz, zgrabnie wskakując z pozycji premier rządu, który wszelkie powszechne wsparcie uważał za niesmaczną wręcz rozrzutność, w buty społecznie wrażliwej oskarżycielki. „PiS zaczyna dzielić dzieci, na co nie ma zgody Platformy”, wtóruje jej Grzegorz Schetyna, sprytnie (i cynicznie, ale wyborca polski pamięć ma krótką) grając na uwielbianej przez Polaków, łatwo antagonizującej strunie pod tytułem „dlaczego on ma, a ja nie”. Ryszard Petru, na liście priorytetów którego obywatel znajduje się raczej na szarym końcu, stroi się w piórka obrońcy żłobków i przedszkoli, i twierdzi, że „Polacy nie mają dzieci, ponieważ brak im poczucia bezpieczeństwa, nie tylko finansowego”. A jakiego? Co oprócz stabilnej sytuacji zawodowej i mieszkaniowej może zasadniczo wpływać na decyzję o prokreacji? Co kryje się pod pojęciem „bezpieczeństwo”, jeśli nie mieszkanie bez kredytu (i bez teściów za ścianą),

zatrudnienie za kwotę wyższą od najniższej krajowej i z umową etatową, możliwość spokojnego pójścia na roczny urlop macierzyński z gwarancją powrotu na swoje miejsce pracy? Czy to takie dziwne, że pani Iza z salonu fryzjerskiego czy pani Krysia z kiosku Lotto nie rodzą po trójkę dzieci, skoro zatrudnione są na odnawianych co miesiąc umowach-zlecenie, a ich mężowie dorabiają na czarno na budowach? Czy naprawdę powinien zaskakiwać nas fakt, że symboliczne becikowe nie skłoniło szerokich mas do rzucenia się w wir prokreacji? W retoryce polityków człowiek jest jednak przedmiotem rozgrywki wyborczej i powyborczej, a nie samodecyzyjnym podmiotem.

Połączenie konserwatywnych frazesów o świętości rodziny z neoliberalnym podejściem do redystrybucji dóbr nie zaowocowało do tej pory w Polsce niczym skutecznym, jeśli idzie o podwyższanie poziomu diety. Oto Beata Mazurek poleca samotnym matkom, które nie łapią się w widełki programu 500+, „ustabilizowanie sytuacji rodzinnej”. Pod tą ładnie brzmiącą etykietką kryje się po pierwsze dość obraźliwe założenie, że kobieta (lub po prostu jedna osoba dorosła) i dziecko nie stanowią rodziny, a po drugie przesadna wiara w siłę owych pięciuset złotych, dla których samotna kobieta poszuka szybko partnera i zajdzie w kolejną ciążę.

Dochodzimy tutaj do problemu najistotniejszego: czy 500 zł to mało, czy dużo? Wystarczy czy nie wystarczy? Brak w Polsce kompleksowego wsparcia kobiet/matek/rodzin, wsparcia finansowego, rzeczowego, opiekuńczego, dla których to 500 zł mogłoby być zaledwie punktem wyjścia. Potrzeba kroków kolejnych: dofinansowania edukacji przedszkolnej i opieki żłobkowej, zasiłków celowych, które nie wynoszą 80 zł miesięcznie, lecz o wiele więcej, wsparcia kobiet przy bezpiecznym powrocie na rynek pracy, a nie wypychania ich z niego za pomocą wykorzystania przez pracodawcę kruczków o braku ochrony po zakończeniu urlopu macierzyńskiego. Kraje, gdzie kobieta nie boi się na rozmowie kwalifikacyjnej przyznać, że ma małe dziecko, to kraje, które autentycznie

wspierają rodziny, dzieci i obywatele, to kraje, które już zwyciężyły w batalii o podwyższenie diety. W świetle takiego porównania wypadamy oczywiście blado, a i sama kwota nie jest oszałamiająca. Nie zgadzam się jednak z argumentem, że „takie pieniądze to wstyd dawać” i lepiej byłoby nie dać nic. 500 zł to, rzecz jasna, niewiele, bo dziecko, zwłaszcza w wieku szkolnym, kosztuje miesięcznie dużo więcej. Jednak pani Iza czy pani Krysia, porównując te 500 zł z brakiem jakiegokolwiek wsparcia, odczuwają różnicę. Gwarantowane, regularnie wypłacane przez szereg lat kilkaset złotych może być tratwą ratunkową dla dwudziestolatki na śmieciówce czy niezamożnej studentki po „wpadce” z równie młodym chłopakiem (niestety, tylko o ile załapią się na próg wypłat dla rodzin najuboższych). Postulowanie wycofania tego wsparcia w imię „wszyscy albo nikt” albo „takich śmiesznych kwot nie należy dawać” – to oznaka braku solidarności oraz popularnego we współczesnej Polsce źle pojętego indywidualizmu, który zakłada, że nie wspieramy potrzeb żadnej z grup, której nie jesteśmy członkami.

Piszę te słowa z perspektywy kobiety, która nie jest i nie będzie matką. Zdaję sobie sprawę ze swojego w tej kwestii uprzywilejowania – jestem w stanie sama zdecydować, czy potomstwo mieć, czy nie mieć, nie odczuwam zbyt silnej społecznej presji w sprawie jego posiadania, mogę dokonać wyboru. Część kobiet jednak podobnego wyboru nie ma, również z powodu marnej edukacji seksualnej i nie zawsze łatwego dostępu do skutecznej antykoncepcji. Mnóstwo kobiet zaś po prostu chce mieć dziecko – w dogodnym momencie, w bezpiecznych warunkach – i to często niejedno. Jako kobieta, obywatelka, socjalistka, z całego serca wspieram więc wszelkie programy i świadczenia oraz wszystkie pomysły, które byłyby w stanie zapewnić im bezpieczną realizację tej potrzeby i pomoc przez kolejne lata. Tak, aby czuły się częścią społeczeństwa, które nie tyle łaskawie „wyciąga rękę”, co bardzo mu zależy, żeby ich życie płynęło spokojnie i pewnie. To gest zwykłej ludzkiej solidarności.

Autorstwo: Magda Komuda

Źródło: NowyObywatel.pl